

Meksykańskie drogi są dla twardzieli. Po pierwsze, pełne są spowalniaczy (*limitadores*), czyli wyższych lub (rzadziej) niższych muld, które przeważnie są jakoś tam oznaczone, ale czasami występują zupełnie znienacka. Niezależnie od spowalniaczy, nawierzchnia nie jest mocną stroną sieci drogowej. Oznaczenia też nie należą do najbardziej czytelnych i jednoznacznych. Kierowcy są, podobnie jak w Polsce, dość kreatywni: jazda pod prąd, zakręty bez kierunkowskazów, czy też zawracanie na autostradach to zjawiska normalne i powszechne. Nie należy się dziwić, że niektórym studzienkom kanalizacyjnym brakuje pokryw: widocznie komuś były do czegoś potrzebne i zabrał. Trzeba uważać, bo w razie czego pretensje można mieć tylko pod własnym adresem.

Zwykle w danym kierunku prowadzą dwie drogi, jedna oznaczona jako *libre*, druga jako *cuota*. Zwolennicy wolności wybierają *libre*, i jadą bardzo wolno. Alternatywą jest przygotowanie kwoty, co jednak nie gwarantuje wcale szybkiego przejazdu. Jak na ogólną taniochę w Meksyku, autostrady są relatywnie drogie.

Ale jak już się człowiek przyzwyczai, to może dojechać do różnych ciekawych miejsc. Niedaleko od Puebli znajduje się stanowisko archeologiczne w Cacaxtli, odkopane w połowie lat 70 ubiegłego wieku, znane głównie z dobrze zachowanych murali, pochodzących jeszcze z czasów przedazteckich. Malowidła są podobne w stylu do tych znanych z kultury Majów. Najlepiej zachowane, o najżywszych kolorach, są te przedstawiające wojowników - jaguarów, walczących z wojownikami - orłami. Świątynia - pałac otoczona była kilkoma mniejszymi piramidami.

Pobliskie miasteczko (Tlaxcala), znana jest głównie z górującej nad nim świątyni (*Basílica de Ocotlán*) rozbudowywanej od XVI do XVIII wieku. Uważana ona jest za jeden z lepszych przykładów stylu churrigueryzmu (to od nazwiska hiszpańskiego architekta i rzeźbiarza), cechującego się bardzo bogatą ornamentyką fasady, a wewnątrz wysokimi rzeźbionymi ołtarzami kapiącymi od złota. Gdybyście tam kiedyś dotarli, nie przeoczcie ukrytego za głównym ołtarzem wejścia do zakrystii (też ładna - tutaj to nie są tylko "pomieszczenia gospodarcze"), a stamtąd do baptysterium ozdobionego szczególnie obficie. Akurat (była to sobota) trafiliśmy na chrzciny, ale obecność turystów nikomu nie przeszkadzała. Znacznie dziwniejszym obyczajem często widywanym w meksykańskich kościołach jest, że niezależnie od dnia tygodnia i pory dnia łatwo natknąć się na nabożeństwa prowadzone nie przez księży, ale (chyba) jakieś lokalne dewotki.

Niedaleko od Tlaxcali znajduje się hacienda (*La Epifanía*), gdzie mieszkał Sławomir Mrożek z żoną w latach 1989-1997. Obecny właściciel urządził w haciendzie centrum konferencyjne; nie poznał nigdy poprzednich właścicieli, bo dom kupił od pośrednika. Gdybyście mieli 80 minut życia na zbyciu, to [tutaj jest film](#) Pawła

Łozińskiego nakręcony właśnie w czasie, gdy Mrozkowie podjęli już decyzję o wyjeździe z Meksyku.

Następnym etapem naszej podróży była Cuernavaca. Znajomy Meksykanin (kolega, który był organizatorem konferencji) zrobił wielkie oczy kiedy usłyszał, że tam się wybieramy - że brzydko, nieciekawie i niebezpiecznie. Faktycznie na pierwszy rzut oka Cuernavaca ma wdzięku mniej więcej tyle, co Zabrze - ale (jak Zabrze) zyskuje na bliższym poznaniu. Cuernavaca miała wielu słynnych mieszkańców, pierwszym z nich był Cortes, który właśnie to miasto wybrał na swoją rezydencję. Obecnie Palacio Cortes gości małe muzeum wszystkiego, którego najciekawszą częścią jest cykl murali Diego Rivery poświęcony podbojowi Meksyku. Wykonanie dzieła sfinansował ówczesny ambasador amerykański. Sam Cortes stoi dumnie na pomniku na placu przed swoim pałacem.

Cuernavacę odwiedził również Alexander von Humboldt, który uciekając z ogarniętej wojnami napoleońskimi Europy udał się do Nowego Świata wyposażony w list polecający przez króla Hiszpanii, Karola IV. Zachwycony położeniem i klimatem Cuernavaki nazwał ją 'miastem wiecznej wiosny', co miejscowi ochoczo powtarzają do dziś ("*la ciudad de la eterna primavera*").

Cuernavacę zamieszkiwał przez pewien czas Malcolm Lowry, który umieścił w niej akcję swojej książki 'Pod wulkanem' (tytuł nawiązuje do wspomnianego przy okazji opisu Puebli wulkanu Popo). W latach 30 ubiegłego wieku miejscowe kasyna przyciągały wielu celebrytów, między innymi Alę Capone i Ritę Hayworth. Później, w latach maccarthyzmu, Cuernavaca była schronieniem dla hollywoodzkich reżyserów i aktorów posądzanych o lewicowe skłonności.

Miejscowa katedra ozdobiona jest freskami przedstawiającymi podróż do Japonii i męczeństwo dwudziestu sześciu misjonarzy ukrzyżowanych w Nagasaki w 1597 roku, w tym Filipa od Jezusa de Las Casas, pierwszego meksykańskiego świętego. Legenda głosi, że gdy Filip dokonał żywota w Japonii, w ogrodzie jego rodzinnego domu w Meksyku odżyło uschłe drzewo figowe.

Hiszpania utrzymywała komunikację z Filipinami drogą zachodnią, przez Meksyk (szlak wokół Afryki był blokowany przez Portugalczyków). Cuernavaca leżała na trasie lądowego odcinka tej drogi (z Acapulco, dokąd dopływały galeony z Manili, do Veracruz, gdzie złoto i inne łupy ładowano na statki do Kadyksu); stąd w miejscowym muzeum do dziś można znaleźć ślady kontaktów z daleką Azją. Ciekawe, że Meksykanie o okresie, w którym pozostawali pod władzą *peninsulares* ("półwyspiarzy", jak ładnie określało się Hiszpanów z Hiszpanii) mówią *virreinal* (wicekrólewski) i każdorazowo obruszają się na jakąkolwiek wzmiankę o byciu kolonią.

Niedaleko katedry znajduje się *Jardín Borda* - ogród z rezydencją wzniesioną przez XVIII wiecznego właściciela kopalni srebra z pobliskiego Taxco, José de la Borda. Po śmierci właściciela, dom funkcjonował jako hotel, a później jako letnia rezydencja cesarza Maksymiliana i jego żony. Obecnie w gestii stanowego ministerstwa kultury, udostępniony do zwiedzania.

Z Cuernavaki pojechaliśmy właśnie do Taxco, ale po drodze zatrzymaliśmy się w Xochicalco. Jest to kolejne stanowisko archeologiczne (o statusie Unesco) z nieźle zachowanymi ruinami prekolumbijskiego miasta (VII-XIII w.). Zachowały się fragmenty piramid, w tym najstłynniejsza ozdobiona reliefami pierzastych węży, trzy boiska do gry w pelotę i "obserwatorium", czyli jaskinia z precyzyjnie wydrążoną dziurą, przez którą w określone dni roku wpada promień słońca. Przed nami, w 1810 roku, Xochicalco odwiedził Alexander von Humboldt, po którego śladach nieświadomie podróżowaliśmy.

Taxco jest malowniczym, położonym w górach miasteczkiem, które dawniej było ośrodkiem wydobywania srebra oraz kamieni półszlachetnych. Obecnie kopalnie już zamknięto, ale nadal przy placach i uliczkach zakłady jubilerskiej zachęcają klientów do oglądania i zakupów. Powiem tylko jedno: jest tanio. Pełna nazwa miasta to Taxco de Alarcón, a to dla uczczenia współczesnego Szekspirowi (i nawet trochę - z pomnika - do niego podobnego) dramaturga, który się właśnie tu urodził. Na górze nad miastem ręce rozkłada, podobnie jak nad świebodzińskim Tesco, Chrystus. (O związkach Świebodzina z Meksykiem będzie jeszcze poniżej.)

José de la Borda, a właściwie Joseph de Laborde (bo z pochodzenia był Francuzem), najstłynniejszy obywatel Taxco, dał się poznać jako najbogatszy obywatel XVIII wiecznego Meksyku, który dorobił się fortuny na kopalniach srebra, a potem niemal ją stracił fundując budowę kościoła Santa Prisca przy głównym placu (Zocalo) w Taxco. Mottem rodziny było *Dios da a Borda, Borda da a Dios* (Bóg daje Bordzie, Borda daje Bogu). Święta Pryska (Priscilla) była rzymską męczenniczką z III wieku, obecnie już zapomnianą, trudno powiedzieć, czemu akurat wybrano ją na patronkę tego kościoła. Może Borda ją lubił. (Dodali jej jeszcze św. Sebastiana.) Jest taka piękna legenda, że jak budowali kościół, to rozszalała się się potworna burza z błyskawicami, ale pojawiła się patronka i wszystkie pioruny złapała gołą ręką. Borda ma przy Zocalo też swój pałac, a przed nim całkiem własny pomnik. Zmarł na chorobę zawodową - ołowicę; ostatniego namaszczenia udzielił mu jego syn - ksiądz, który też przewodniczył ceremoniom pogrzebowym (pamiętajmy o rodzinnym motto).

Z Taxco związany też był amerykański jubiler i projektant biżuterii William Spratling (*The Silver Gringo*), uważany za ojca współczesnego meksykańskiego designu jubilerskiego. Spratling przybył do Taxco pod koniec lat 20 ubiegłego wieku. W

swoim warsztacie wykształcił kilkuset miejscowych rzemieślników, uczniowie których projektują i wykonują srebrną biżuterię do dziś. W projektach łączył motywy prekolumbijskie z nowoczesnymi technologiami obróbki srebra. Zaprzyjaźnił się z Diego Riverą, któremu pomógł zorganizować pierwszą wystawę poza Meksykiem (w nowojorskim Metropolitan Museum). Zmarł tragicznie w Taxco w 1966 (wypadek samochodowy). W domu Spratlinga zorganizowane jest małe muzeum mieszczące jego kolekcję sztuki prekolumbijskiej - niestety zamknięte w obydwa dni naszego pobytu w mieście.

W Taxco zatrzymał się również Humboldt. Na jedną noc, ale wystarczyło, aby miejsce noclegu nazwać Casa Humboldt - obecnie mieści się tam muzeum miejskie, głównym eksponatem którego jest drewniany XVIII wieczny katafalk odnaleziony w magazynie kościoła Santa Prisca. Jednak najlepszym muzeum Taxco jest Casa Figueroa. Pierwotnie była to rezydencja zbudowana dla hiszpańskiego zarządcy (intendenta) Miguela de Flon, hrabiego Cadeny, współczesnego i zaprzyjaźnionego z Bordą. Dom był świadkiem licznych śmierci: najpierw umierali z wyczerpania Indianie, którzy go budowali, potem była jakaś molto amoroso historia z biednym Indianinem zakochanym w bogatej panience z dobrego domu. Ponieważ sprawa była beznadziejna, któryś (nie zrozumieliśmy w końcu, który) z niedoszłych teściów poderznął gardła młodym i замуrował ich w tunelu pod domem.

Na przestrzeni wieków dom był więzieniem, mennicą, przytułkiem dla biednych, bezdomnych księży, prefekturą i sądem. Później wrócił do rąk rodu de Flan. Pod sam koniec XIX wieku obrabowano i zamordowano mieszkającą tam samotnie staruszkę. Od tego czasu dom był opuszczony, aż w roku 1943 kupił go i przebudował meksykański malarz i kolekcjoner sztuki, Fidel Figueroa. Sam w domu raczej nie mieszkał, ale od początku przekształcił go w coś na kształt muzeum, w którym gościł rozmaite sławne osoby (łącznie z Nixonem i Elvisem Presleyem). W bardzo gustownie urządzonych wnętrzach można podziwiać eksponaty prekolumbijskie, sztukę religijną z okresu kolonialnego, ceramikę i płytki z Puebli oraz obrazy autorstwa samego właściciela. Szczególnie piękna jest kuchnia, choć ciekawostkę stanowi również "sekretny pokój" służący oryginalnie jako miejsce schronienia dla kobiet w przypadku przemarszu wojsk (prowadziło do niego tylko małe okienko umieszczone w suficie, dopiero pan Figueroa przebił drzwi).

Z Taxco pojechaliśmy do Toluکی. Trafiliśmy chyba na zakończenie (rozpoczęcie?) roku szkolnego albo też jakąś inną fiestę, bo kościoły (wtorek rano) pełne były dziatwy umundurkowanej, niosącej zdobione paczki słodczy. Kojarzyło się to nam ze śląską tytą (niem: *Schultüte*) wręczaną na osłodę pierwszoklasistom.

Sama Toluca ma kilka ciekawych akcentów architektonicznych. Obowiązkowa katedra stoi przy Zocalo, zwanym dla niepoznaki *Plaza de los Mártires* (nie

wiadomo, o których męczenników chodzi, Meksykanie się w XIX wieku masowo nawzajem wyrzynali (ale i z sąsiadami z północy oraz z Francuzami), aż cud, że w ogóle przetrwali. Naprzeciwko katedry przewidywalnie znajduje się Palacio Municipal, ale główną atrakcją placu jest tzw. Cosmovital, pierwotnie zbudowany w stylu art deco jako hala targowa na stulecie niepodległości Meksyku (1910). Budynek służył mieszkańcom w tej funkcji aż do 1975, kiedy to powierzono lokalnemu malarzowi i witrażysty, Leopoldo Floresowi, przebudowę hali na coś w rodzaju hybrydy palmiarni z dziełem sztuki. Flores zaprojektował witraże na ściany i witrażowy plafon na sufit (myśl wiodąca - człowiek a wszechświat), a wewnątrz hali wypełnia ogród botaniczny, poświęcony naturalizowanemu w Meksyku japońskiemu botanikowi, który badał i klasyfikował miejscową florę. Są więc akcenty japońskie - mostek, kamienna latarnia, oraz wystawa bonzai.

Z Toluکی pojechaliśmy do niedalekiego Metepec (w zasadzie obecnie dzielnica Toluکی), znanego z rękodzieła, głównie garncarstwa. Miejscową specjalnością jest *Árbol de la vida* (drzewo życia), coś w rodzaju ludowego spojrzenia na historię Adama i Ewy, z różnymi dodatkami, często bardzo oryginalnymi i niekoniecznie biblijnymi. Meksykańskie drzewo życia trafiło do zachodniej popkultury poprzez okładkę albumu Beatlesów (*Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band* - po prawej stronie).

Następnie udaliśmy się na nieco dłuższą wycieczkę do Malinalco. Powody, żeby tam przyjechać są co najmniej dwa: klasztor augustianów z pięknie dekorowanymi krużgankami i ruiny wykute w skałach zespołu prekolumbijskich świątyń. Przechwałki miejscowych, że Malinalco dorównuje Petrze czy Abu Simbel są sporo na wyrost, ale odkryte w 1933 roku azteckie ruiny wynagradzają dość długą wspinaczkę po schodach. Najciekawsza jest częściowo zrekonstruowana (pokryta dachem), umieszczona na szczycie piramidy okrągła budowla, która służyła prawdopodobnie za miejsce inicjacji Wojowników Orła (ta sama elitarna formacja, co w Mexico City). Oprócz tego zachowało się kilka mniejszych piramid umieszczonych na tarasach, skąd rozciąga się piękny widok na położone w dolinie miasteczko.

Jutro wyruszamy w stronę Tuli, czyli rozpoczynamy 'północne półkole' wokół miasta Meksyk, co tradycyjnie mamy nadzieję sprawozdawać.

A teraz obiecany apendyks, czyli "Świebodzin a sprawa meksykańska". Rzec całą naświetlił mi Przyjaciół, sam posiadający hacjendę w powiecie świebodzińskim. Wszyscy znamy, przynajmniej ze słyszenia, oskarowy film 'Skarb Sierra Madre' (którego akcja dzieje się w Meksyku). Podstawą scenariusza była powieść pod tym samym tytułem, autorem której był niejaki B. (Bruno?) Traven. Tożsamość Travena nigdy nie została ustalona, tropy się płaczą i - przeważnie - prowadzą na manowce. [Artykuł w polskiej wikipedii](#) wyczerpująco opisuje zagadkę personaliów Travena.